

Wychodzą we *Wto-
rek, Czwartek i Sobo-
te*. We Lwowie prenu-
merata roczna 6 Złr. —
półroczna 3 Złr. — kwar-
talna 1 Złr. 30 kr. —
miesięczna 30 kr. m. k.
W kraju z przesyłką po-
cztową rocznie 8 Złr. —
półrocznie 4 Złr. — kwar-
talnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego
rodzaju przyjmują się za
opłatą od wiersza pis-
mem petyt w przedzia-
cie za jednorazowe umie-
szczenie po 3 kr., za na-
stęp po 1½ kr. i za do-
płatą 10 kr. stępl. za każ-
dorazowe umieszczenie.
Biuro ekspedycji w księ-
garni *H. W. Kallenbach*.

GWIAZDA.

Epizod z życia wygnańca.

(Ciąg dalszy.)

Powoli, zcicha oddaliła się grupa. Tylko po szeleście sukien, zdaje się jedwabnych, mogłem to poznać. Czy i Filip z nimi poszedł, o tem bym nigdy nie wiedział, gdyby pocziwiec sam o sobie znać mnie nie dał. Zaledwie bowiem panie kilka kroków były uszły, znudzony już Filip począł sobie zcicha jakiegoś „czardasza“ pogwizdywać. Z początku wprawdzie słyszałem tylko syk, lecz druga część szła już „crescendo“, a gdzie melodia ton i takt zmieniać zaczęła, słychać już było donośne, czyste, z całym samorodnym artyzmem wykonane gwizdanie. Co sobie przytem jego towarzysz tam myślał, to nie trudno sobie wyobrazić. Zapewnie nie był on bardzo kontent z tego koncertu, i niezawodnie nastąpiłaby jakaś demonstra-cya, gdyby nagły wypadek nie był się wmieszał w to spojone, dramatyczne działanie.

W chwili bowiem, gdy Filip nowe akordy do swojej melodi z wielką znajomością sztuki nawiązywać począł, a mieszając narodowości, jakies „potpourri“ utworzył, które coś na „bohémien-russes“ przypominało — w chwili tej, jakby na ustalenie taktu, padł strzał armatni — jeden — drugi — i trzeci.

Nie tylko melodia, ale i oddech Filipa ustał nagle i mnie zrobiło się niedobrze. Były to zwykłe sygnały, że jeden z więźni fortecznych uciekł. Chwila grobowego milczenia. Pojedyncze strzały rozrzuconej po wałach straży, przebiegły w okół fortecy, i chwilowym, ognistym wieńcem otoczyły jej okopy. Krzyk, wrzawa, chrzęst broni ozwał się zaraz ze wszystkich ulic, a zdala zatętniały raźniej kopyta nocnej, konnej patroli. Sto światel zablęsnęło do koła. Moje położenie było nader niebezpieczne. Chociaż miałem przekonanie niewinności, lękałem się jednak pozorów, które w mem życiu już nieraz odegrały rolę dla mnie niekorzystną. Byłbym niezawodnie do domu pobiegł, gdybym wiedział gdzie przeklęty Filip się uczył. Na moje nieszczęście sprawował się tak cicho, że nawet oddechu jego usłyszeć nie mogłem. Bądź co bądź, nie mogłem tak prędko powziąć decyzji, a światła i patrole zbliżały się ku mnie. Zapewnie i biedny Filip nie miał jeszcze decyzji, bo jak się okazało później, stał on ciągle na jednym i tem samem miejscu.

Coraz bliżej zatętniały kroki biegnącego ku nam. W chwili ktoś stanął, tylko oddech ciężki, chrapliwy zdradzał go. Widziałem jak punkt jeden czarny powiększył się, a odgłos silnego nderzenia odbił się o ściany najbliższego domu.

— Teraz cichy jesteś, przeklęty gawronie — stłumionym głosem zawołał napowrót przybyły towarzysz Filipa, cichy jak mysz w dziurze, że cię znaleźć nie mogę, a nie dawno gwizdałeś, aż mnie po kościach chodziło. — Ruszaj, umykaj, łapaj! Przeklęty cygan! wołałbym jutro mu sam drzwi otworzyć, niżeli miał się dzisiaj wyłamać!

Znowu rozległ się odgłos potężnego boksa, jakaś czarna mara zachwiała się, a nawet stękla i — znów uciechło. Przybyły odbiegł.

Cóż Filip na taką konwersacyą? O! on był filozofem! Naprzeciw chęciom agresywnym swego przeciwnika postawił odpór — bierny. Bo odpór bierny (passiwer Widerstand) był wtedy bardzo na czasie. A Filip do tego czytywać musiał dzienniki pruskie.

Lecz biedny „Filip“ ze swoją zasadą niebardzo źle wyszedł. Zdaje się, że podczas drobnostkowej dySSERTACJI swego towarzysza, przygotował on się do nowej roli, którą miał wkrótce odegrać.

Zaszeleściły suknie kobiece. Filip odkaslnął.

— Ktoto?. — zawołała szybko jedna z kobiet.

— Nieszczęśliwy, a to przez was, moje panie — odparł Filip głosem melodramatycznym — straciłem chleb, a przedemną sztokhaus!

— Ach biedny!, cóż ci pomogę? — odparła kobieta, widzisz ja sama w niebezpieczeństwie!

— Ba, niebezpieczeństwo! jabym się śmiał, gdybym miał co w kieszeni. A tak... bez grosza... gdybym nawet chciał uciekać przed srogim wyrokiem, gdzież się obróć?

— Więc cóż chcesz odemnie, puszczaj nas, już patrol nadchodzi!

— Patrol, to prawda, w sztokhausie nie będę miał za co wódki wypić!

— Masz i idź precz — rzekła jedna z kobiet, podając mu coś ręką, a staraj się, abyś niekoniecznie jutro w kozie siedział.

— O siebie staram się zawsze — odparł półgłosem Filip, a przed chwilą dałem tego dowody.

Pomrukując coś pod nosem, odszedł. Kobiety zatrzymały się chwilę na miejscu.

Spostrzegłem, że tylko jedna z nich dotąd mówiła. Trzymająca latarkę milczała, i miała obok pierwszej, jakąś rolę podrzędną. Pani ta mówiła językiem niemieckim, jednak go źle akcentowała. Dźwięk mowy, lubo nigdy nie użyła pełnego, piersiowego głosu, dziwne uczynił na mnie wrażenie. W tem „pianissimo“ było tyle melodyi i słodyczy, tyle jakiegoś nadziemskiego uczucia i boleści, że nie wiem, co bym za to był dał, gdybym mógł być ujrzeć tę twarz, z której ust ten drżący, cichy głos wychodził, gdybym mógł ujrzeć te dwoje ocz „gwiazdy nocnej,“ których wyrazem była pewnie boleść i smutek, a które omgłili tę sknota i marzenie!...

Stałem chwilę jak odurzony, i lękałem się nawet odetchnąć. Serce poczęło mnie bić gwałtownie, nogi podemną drżały.

Dzisiaj, gdy wam to opowiadam, zapewne nudzę was; ale wiercie mnie: Są istoty na świecie, które dziwną swoją potęgą wstrząsają cały nasz system nerwowy, a nawet i tych, którzy przed chwilą sztychli z tego. Mówię wam prawdę, że nie widziałem osoby, a jednak, gdyby serce moje wolne było, mógłbym się śmiało rzucić na kolana — już teraz — i przysiądź jej miłość po wieki! Lecz takich uczuć nie wolno mnie było żywić w mem sercu; poprzestałem na jakimś błogiem rozdrażnieniu, któremu można dać nazwę uczucia zaufania, przyjaźni, a nawet miłości braterskiej.

Może być że osamotnienie moje wpłynęło na powzięcie takiego wrażenia; lecz nie przesadzam, wyznając, że jakaś siła demoniczna przyciągała mnie do osoby, której nie znałem, nie widziałem, a nawet której pełnego głosu nie słyszałem. Serce moje rwało się ku niej, i zmusiło mnie wyjść z ukrycia, chociaż wiedziałem, że to mnie mogło zaszkodzić.

Ale powtarzam: Niemyście, aby to dziwne uczucie moje ku niej było deklarowanym uczuciem miłości jakiejś awanturniczej. Było to dla mnie jakimś błogiem ukojeniem, być pod wpływem wyższej, wybranej istoty: a że nią była, o tém mówiła mi dusza i serce.

Usłyszałem ułamek ich rozmowy, którą prowadziły po francusku. Były one niepewne, którą ulicą się udać.

— Nie lękam się niebezpieczeństwa, wyrzekł ten sam głos, który mnie do głębi przeniknął, przecudnym francuskim akcentem, ale lękam się niegrzeczności. Same kobiety, śród nocy...

— Nie same panie będziecie, odparłem wychodząc z ukrycia, jeśli przyjmiecie pomoc i towarzystwo mężczyzny, które on wam chętnie ofiaruje, chociaż nie jest pewnym, ażali nie dał pomocnej dłoni nieuczciwym zamiarom.

Przemowę taką uznałem za nader potrzebną, aby się okazać w świetle korzystnem. Inaczej, dostałbym niezawodnie odkosza.

— Zarówno nieznam pana, kto jesteś — odrzekł ten sam głos znajomy — lecz wywdzięczając się z zaufania,

jakie pan w nasze zamiary pokładasz, zaufam panu i przyjmuję jego rękę.

Zbliżyliśmy się do siebie. Zadrzałem jakby od prądu elektrycznego. I dziwna, z pomiędzy dwojga, poznałem ją od razu. Podając ramię, wziąłem ją za rękę, która drżała nadzwyczajnie... zapewne z przestrawu.

Nigdy nie byłem zwolennikiem kranologii ani chiromancyi. Jednak, dotykając się miękkiej, drobnej rączki, i czując w niej pulsacyą każdej, choćby najskrytszej arteryi, zdawało się mnie, że w sposób nieodgadniony odbywa się między nami jakieś wyższe, duchowe porozumienie. Rozdrażniony cierpieniem mojem, mogłem się łatwo łudzić; lecz niewiem, czy to w skutek złego stąpienia, czy mimowolnego kurczu muszkułów, zdawało się mnie, że ta drobna rączka niewidzianej odemnie osoby kilkakrotnie lekko mnie ścisnęła!

W milczeniu postępowałem dalej. Marzyłem słodko, ale sam niewiem o czem. Nie obieraliśmy drogi, a przecież szliśmy dobrze. Nie mogłem się odważyć, rozpocząć rozmowę, bom się lękał tego głosu, który mnie zmysły odbierał. A zresztą, i o cóż mogłem nieznaną mi osobę pytać? Na pospolitą jakąś rozmówkę nie mogłem się zdobyć; wolałem więc milczeć czy słuchać raczej monologu, który podczas tego odbywał się w duszy mojej.

Towarzyszka moja zatrzymała się nagle. Szybko, idąc za jakąś myślą dziwną, przypadkową, szepnęła, zawsze tym samym cichym głosem:

— Nie masz pan przy sobie ognia?

— Rozkażesz pani zaświecić?...

— Tak... zdaje mi się, żeby lepiej może było, iść z latarką.

Niepomny na skutki naszej nowej strategii, chwyciłem się prędko tej myśli, w nadziei, że obaczę twarz tej tajemniczej „gwiazdy nocnej.“

Potarty fosfor wytrysnął z drojem błękitnego światła, a świeca woskowa zajęła się małym płomykiem. Właśnie chciałem podnieść oczy od przyrządzonej latarki i spojrzeć na towarzyszkę, gdy na mojej ręce uczułem lekki podmuch wietrzyka, a słaby płomyk — zagasnął.

— Czy pani zgasiłaś naumyślnie? zapytałem zdziwiony a nawet nieco gniewny, żem celu chybił.

— Tak jest, naumyślnie zgasiłam, — szepnęła zdawało mi się figlarnie, z zadowoleniem dziecka, któremu się figiel udał.

— Czy mogę wiedzieć powód?

— Kaprysy kobiece, nic więcej, mój panie. O jeśliś się podjął służyć kobietom, to musisz je cierpliwie znosić; tem cierpliwiej, im więcej chcesz się im podobać. A podobać się, chociażby i jakiej nieznanomej, chociaż na chwilę, w przelocie, to zawsze jest miło. Nie prawdaż?...

— Przyznaje, a najzupełniejszą uległość moją tem dowodzę, że się więcej nie pytam. Mogę jednak pani to za-

rzucić, że się nie godziło użyć podstępów, przy danem mnie zaufaniu, aby osiągnąć to, czego się innym wzbrania.

— Pan jesteś nader logicznym, a zapominasz, że kobieta niema logiki, a nawet się nią brzydzi. To niech ci służy za przestrożę, która ci przypomni...

— „Nocną gwiazdę,“ dokończyłem szybko.

— Więc mnie znasz? — wpadła skwapliwie stanawszy na chwilę i odciągając odemnie rękę.

— Tyle znam, że mogę panią nazwać „nocną gwiazdą.“

— Nie więcej?

— Niestety, nie! Przypadkiem tylko usłyszałem to nazwanie od jakichś przechodzących, spodziewam się, że mnie pani daruje tę nieprzyzwoitość, jeśli bym prosił...

— Wyjaśnienia, nie prawdaż?

Dotąd staliśmy na ulicy. Nieznajoma oddaliła się wprawdzie nieco odemnie, niedowierzając mnie; ale ręka jej spoczywała jeszcze w mojej ręce. Uczułem nawet, że mnie lekko ścisnęła, ale ścisnienie to nie pochodziło z przyjaźni, z zadowolenia; przeciwnie, był to uścisk badawczy, uścisk zimnego sędziego, który ukrytej zbrodni domagać się usiłuje. Z największym spokojem poddałem się tej dziwacznej, jednak przyjemnej indagacji, a po chwili zapadł na mnie wyrok jak najkorzystniejszy. Po zimnym, refleksyjnym uścisku nastąpił nagły, gwałtowny, serdeczny. W głosie, choć zawsze cichym i szepeczącym, było pewne natchnienie i powstała z tąd decyzja.

— Wyjaśnienia? powtórzyła, tego nigdy nie otrzymasz, lecz nie przeto abyś miał być złym człowiekiem, bo nim nie jesteś, tylko... z kaprysu kobiecego, a może i dla ważniejszych powodów.

— Za nadto czuję się uległym woli pani, abym się mógł temu wyrokowi sprzeciwić. Są jednak chwile w życiu, które lekkomyślnie bierzemy za pobieżne arabeski i niemi „quotlibet“ życia ustrajamy, podczas gdy dla innych są one jedynym i wyłącznym obrazem! Wycinając dla zabawki te szkice niewykończone, odbieramy im wszystko!

— Nieznajomy mi towarzysz mój poczyna być sentymentalnym, a nawet, jak widać, ma piękne sentencje w zapasie. Szkoda, że do odegrania tej roli brak nam oświetlenia. Poznałby biedny niestety, że zamiast wysnionej piękności medycejskiej, prowadzi z sobą dwie dosyć stare i brydkie kobiety, które Bóg wie w jakim celu, blakają się po nocy!

— W słowach pani widzę ukrytą kokieterią — podjąłem skwapliwie — pani jesteś młoda i piękna, bo brzydka i stara nigdy siebie nie gani.

— Otwartość pana tłumaczy się tylko przez znajomość, zabraną na otwartem miejscu. Inaczej nie przyjąłabym podobnych, sentencyonalnych morałów.

— Odbierając mnie tem karceniem wszelki sposób rozmawiania, przymuszasz mnie pani do milczenia.

— Lepiej uczynisz pan, gdy będziesz milczał. Mil-

czący miałeś więcej łaski u mnie! a teraz poznaje, że lubisz gderać i sofizmować.

Na to nic nie odpowiedziałem; wszak sobie życzyła tego abym milczał!

Niewiem, czyby długo trwało nasze milczenie, gdyby nowy wypadek nas nie był zaskoczył. Dotąd szliśmy spokojnie ulicą główną; lecz wchodząc w aleję, musieliśmy zwolnić kroku i do siebie więcej się zbliżyć, aby nie utknąć o konary drzew, któremi gęsto była wysadzona ulica. Miałem ją po prawej stronie. Zdało mnie się, że uczułem puls jej serca. Był on szybki i nieregularny; lecz w chwili, gdy nad możliwym powodem tego wzruszenia zastanowić się chciałem, a może i mego serca w tym względzie się poradzić, — wyszła z poza drzewa przeciw nam jakaś czarna, niewyraźna postać, i błagającym lecz stłumionym głosem przemówiła, zatrzymując nas w pochodzie:

— Państwo! litości! jestem zbrodniarz, który w tej chwili potargał kajdany, któremu złota wolność się uśmiecha, a której użyć dobrze poprzysiągł; — zbrodniarz, który przemocą rwie się do poprawy swojej, zamiast, aby tylko dla „przykładu“ świata, żywcem był pogrzebany!

Ludzie! litości was błaga zbrodniarz, którego najłatwiej odkryje głód, nędza i nagość!

— Niebezpiecznie jest dla nas — odezwałem się do towarzyszek — słuchać a gorzej usłuchać wyuczonych tyrad zbiegłego zbrodniarza. Spieszmy a jego zostawmy sprawiedliwości.

— Tą razą źle zaaplikowana sentencja, mój panie! — z dziwną namiętnością odpowiedziała. — Zbrodniarza karze sprawiedliwość, lecz Bóg nakazał nam, być miłosiernymi. Chwila i mały datek uratować go może; a gdy się poprawi, będzie się za nas modlił. O widać, żeś jeszcze niebył nieszczęśliwym, nie wiesz co to jest być więźniem!

Nie czekając mojej odpowiedzi, dodała skwapliwie.

— Nie traćmy czasu na paplanie niedorzecznej. Trzeba go ratować; ja chcę tego. Pieniądze moje dałam jednemu przed chwilą. Czy nie mogę u pana długu zaciągnąć?

Nie opierając się jej chęciom, wyjąłem z kieszeni „portemonais.“

— Darujesz pani, odparłem, jeśli na zaciągnięcie pożyczki nie zezwolę, a nie zechcesz mnie odjąć błędnego uczucia, abym sam mógł przynieść pomoc biednemu!...

— Nudziarz z pana — rzekła z gniewem i szarpnęła moją rękę — ja czynię pożyczkę i na tem koniec. Z resztą nie bądź egoistą, daj innym spełnić dobry uczynek. Od kogo pierwsza myśl wyszła, temu przynależy się pierwszeństwo.

Uczułem znowu szarpnięcie ręki, a po krótkiej chwili naszej walki, domyśliłem się, że mój „portemonais“ spoczywał już w kieszeni zbiega. Kilka słów podziękowania, utwierdziło mnie w tem.

— I cóż pan sobie myślisz o jakiejś nieznanym — przerwała milczenie, która pana burczy i fuka, odbiera mu pieniądze i zarządza nimi jak swoją własnością?

— A cóż pani sądzi o nieznanym — odparłem, który to wszystko znosi bez oporu i do tego milczy?

— Śliczna powieść! Zawiazanie przecudowne! Szkoda tylko, że wątek do niej tak prędko się przerwie! Bo „ciąg dalszy“ ani „dokończenie“ nigdy nie nastąpi! Więc Korzystaj z czasu, mów wiele — tylko — tylko się o nic nie pytaj!

— Dla czegoż mam się spieszyć?

— Bo na końcu tej alei, pożegnamy się.

— Wszak nie mieszkaś pani pod gołem niebem?

— Mówię — wyrzekła z naciskiem, że na końcu tej alei, pan nas opuścisz. — Nieprawda, że to uczynisz? — dodała prędko głosem tak pieszczotliwym, że mnie w głąb duszy wniknął.

— Prawda — odrzekłem spiesznie — uczynię, chociaż nie wiem, jak do tej uległości przychodzę!

— Wiedziałam, że mnie usłuchasz, i wiem, że jeszcze więcej uczynisz. Słuchaj.

— Rozkazałaś.

— Daj mi słowo honoru, że o „nocnej gwiazdzie“ przed nikim nie wypowiesz, ani się o nią nigdy dowiadywać nie będziesz, ani najmniejszych czynić domysłów. Przrzekasz?

— Przrzekam — wymówiłem machinalnie, bo w tej chwili żadnego słówka przeczącego użyć nie mogłem. Zdawało mi się, że tak być musi i że tak będzie, bo ta z której ust to słyszałem, była wyższą, szlachetniejszą istotą.

— Dziękuję ci — odrzekła z uczuciem, życzę ci, abyś mniej cierpiał, bo cierpieć to los śmiertelnych. Jesteś nieszczęśliwy, niemniej jak ja, lecz módl się, a dostąpisz ukojenia boleści. Lecz dam ci jedną przestrożę. Uczucia, powzięte w ziemi rodzinnej, zamknij w duszy, jak świętą relikwię, a nie myśl, że je może zastąpić inne, obce, po drodze schwycone, którego życie liczy się na chwilę. Zając się można, ale być pojętym i zrozumiałym, osobliwie, gdy jesteśmy więcej, niżeli samolubami, tak, jak tego pragnie dusza, nie pół senna, ale czuwająca w całej swojej potędze, na to potrzeba ziemi rodzinnej i nieba, pod które wzniosło się nasze pierwsze westchnienie! — Bądź zdrów alea się kończy. Mam twoje słowo.

Uścisk ręki, namiętny, gorący, wyrwał mnie z zamyślenia, ale na to tylko, aby mnie tem więcej zmysłów pozbawić. Myśl że to uścisk ostatni, przebiegła lodem rozgrzane żyły wyobraźni, i wpadła w serce, które bić przestało. Uścisk ten zabił mnie.

Dzisiaj, gdy wam opowiadam, widzę w tem przeszłość ubiegłą, a więc przebaczenie mojej refleksji, jeżeli w chwilach waszej ciekawości, zatrzymuję się, i może i nudzę drobnostkowem opisywaniem moich uczuć i myśli.

Mówiłem, że uścisk ten zabił mnie. W życiu jednak dzieje się przeciwnie. Uścisk ręki odgrywa często pod względem psychologicznym ważną rolę. Gdy się z kim goździmy, przepraszamy, gdy w jakie przymierze z kim wchodzimy, podajemy mu dłoń do uścisku. Nawet kodeksa nasze widzą wielką różnicę między słowem a podaniem ręki. Wszystkie prawie narody, a nawet dzikie, w dotknięciu ręki, widzą pewny rodzaj wzajemności, sojuszu, lub innych, zawsze jednak szlachetnych uczuć, które tym aktem moralnie poświęcają się. Wprawdzie wszystko w świecie na złe użytem być może, a od czasu, kiedy święty i tajemniczy charakter pocałunku, przybrał oznakę zdrady i podłości, czyli od czasu gdy Judasz pocałował — zniknął z wielu naszych zwyczajów duch pierwotny, a nam pozostała szata martwa a często zbrudzona.

Kto z prawdziwego natchnienia dłoń uściśnie, lub taki uścisk odbierze, dozna słodczy niewysłowionej jakiegoś przelania się, czyli udzielenia jednej istoty, drugiej. W tym krótkim czasie, jakoby przez łańcuch elektryczny, przebiega dusza nasza obcą istotę i wraca z wrażeniem, jakiego tam doznała. Dowiedziona jest rzeczą, że mocniejszy duch słabszego pobija i czyni go od siebie niewolniczo zawiśłym. Ztąd ta wyższość i demoniczna potęga duchów silnej woli i doskonalszych przymiotów. W jaki jednak sposób to się odbywa, o tem wiedzieć nie możemy, bo nie znamy istoty duchów. Widzimy tylko skutki i zewnętrzne objawy, a z nich domyślamy się o istniejących przyczynach.

Nie rozśmiejcie się więc, jeżeli wam powiem, że uścisk ręki nieznanym zabił mnie. Tak było w istocie. Nie wiem kiedy odeszła, a gdy przyszedł do siebie, ujrzałem się samotnym, a prócz hasła krzyżujących się patroli, żadnego echa kroków jej nie usłyszałem.

Pospieszyłem do pomieszkania. Rzuciwszy się na krzesło począłem porządkować wrażenia nocy dzisiejszej, a najbardziej zastanawiała mnie myśl, z ostatnich jej słów wypływająca, że mnie znać musi.

Lecz niedługo trwały moje bezskuteczne medytacje. Około pierwszej z północy, usłyszałem pode drzwiami brzęk broni. Z łoskotem otworzono drzwi. Kapitan dyżurny, z adjutantem wystąpili na przód tego dziwnego nocnego zjawiska, którego tłem były wąsate twarze i błyszczące bagnety.

— Jeden dowód zbrodni więcej — ozwał się auditor uroczystym głosem do kapitana, że jest nierozebrany.

Wzięto się do przetrząsania rzeczy i papierów moich. Patrzałem na to, jakby na scenę jaką z teatru, odegraną po mistrzowsku. Lecz wkrótce przebudzono mnie, i dano do zrozumienia, że wąsy te na tle obrazu, nie były przyprawione, ale samorodne, że bagnety nie obklejonem drzewem, ale wyborem żelazem.

Kazano mnie pójść za sobą. Za chwil kilka siedziałem sobie

swobodnie, z całym komfortem do medytacji i marzeń —
w ciemnej kazamacie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRÓBY CIERPLIWOŚCI.

Gawęda gminna.

(Dokończenie.)

VIII.

Za tydzień Maciej stał u miejskiej bramy,
A co wycierpiał, a jak był kuszony,
Jak zeń szydził sąsiedzi, kumowie,
Tego już żaden język nie wypowie.
On starym trybem zaciskał kułaki,
Błyskał oczyma groźnie, jak wilk jaki,
Zgrzytał zębami i zagryzał wargi;
Lecz milczał, w żadne nie wdał się zatargi.

Tak do wieczora, O samym zachodzie,
Gdy już miał ruszać ku swojej zagrodzie,
Nagle ku miastu rzucił się tłum wielki.
Gwarnie się tłocząc koło długiej belki,
Którą własnemi dźwigając rękami,
W poprzek ulicy, zawadzi końcami,
O słupy bramy i stanął jak głupi.

— Hej razem! razem! krzyczy cała zgraja,
I znowu dźwiga i siły podwaja,
Cofa się, wraca, znowu cofa i wraca,
I w bramę belką jak taranem wali;
Belka nie włązi, nadaremna praca!
A mazur na to spogląda z oddali,
Zgrzyta zębami, zaciska kułaki,
Błyska oczyma groźnie, jak wilk jaki;
Bo złość go bierze, że tyle drągali,
Już od godziny trzusi się i kłóci,
A żaden belki końcem nie obróci!
Po drugich sporach stanęła narada,
Że niepodobna wnieść belki do miasta,
Że albo bramę rozwalić wypada,
Lub belkę przeciąć na poły i basta!
Że zasieć belka ciosana do miary,
Walić więc bramę! i hejże do młota!...
Mógłże wytrzymać dłużej budnik stary?

— A głupia, głupia, przekłeta hołota,
Krzyknie z ferworem i dalejże młócić
Kijem po grzbietach, wpadłszy pośród tłumu.
«Wieleż to na to potrzeba rozumu,
Ażeby belkę końcem w bramę zwrócić?»
I wali, oka nie patrząc ni boka,
I klnie i łaje jak mazur prawdziwy.
W tem w imię Ojca i Syna! o dziwy!
Wszystko przepadło w jednym mgnieniu oka,
A przed nim znowu ów diablik, co wiecie,
Wywrócił kozła, sypanął w oczy śmiecie,
Podskoczy w górę z szyderczym chichotem,
I czmychnął, strzechy zrywając przelotem.

IX.

Długo stał Maciej bijąc się z myślami,
Nareszcie plunął, machnął w gniewie ręką,

I do dom ruszył. Lecz pod bożą męką,
Jakoś mu raptem zaszyły oczy łzami,
I koło serca srodze rozebrało.
Padł więc na kłęczki, i żałość swą całą
W rzewnej modlitwie posyłał w niebiosy.
A gdy się modli, dziad ów siwowłosy,
Znów przed nim staje i znów sam zaczyna:
— A co Macieju, co też z twojej próby?
A mazur z płaczem: «moja, moja wina!
Ależ bo dojadł mi ów naród gruby!...
Głupie bydłaki!... Och mój apostołe,
Nie wiesz jak z ludźmi o cierpliwość trudno!
Jeszcze gdy wejda z diabłami w sojusze!
Poszlij mię w jaką pustynię bezludną,
Każ mi wiek cały przeżyć w wilczym dole,
Wszystko uczynię, aby zbawić duszę;
Jeść będę tylko grzyby i korzonki,
Nawet się dziatwy wyrzekę i żonki,
I zniosę choćby najstroższe katusze!
Ale wśród ludzi, i jeszcze w natłoku,
Człek musi diabła spotkać w każdym kroku!»
A starzec: «dobrze! więc jutro dzień cały,
Stać będziesz w lesie przy owym potoku,
Co się z pod wilczej wydobywa skały;
Ale się pilnuj, bo i w głuchym borze,
Diabeł ci kusieć i pokusić może,
Kiedy już w sercu masz złęgo zarody.»
To rzekł i zniknął w jasności jak wprzód,

X.

Nazajutrz mazur stał w lesie u skały,
Po nad potokiem, przy szumiącej wodzie.
Sam samiuteńki przebył dzionek cały,
Bez wszelkich pokus. Alić o zachodzie,
Jakiś człek z beczką przyjechał do rzeki.
Ujrawszy Maćka, czapkę z głowy zdejmie,
I jak przystało, pozdrowi uprzejmie;
A mazur na to jakoby zwierzył dziki,
Pojrzy z podełba groźnie a surowo,
I ani słowa. Więc i woziwoda,
Myśląc, że z jakimś spotkał się niemową,
I że doń gadać gęby tylko szkoda;
Zostawił Maćka chmurnego w pokoju,
I wiadrem wodę jął czerpać ze źródła,
I lać do beczki. Beczka, ot jak beczka,
Wiader z piętnaście; a on, jak zaklęty;
Nosi i nosi w srogim pocie czoła.
Leje i leje, a nalać nie zdoła!
To już Maćkowi dojmuje troszeczka...
Spojrzy, aliści z beczki szpunt wyjęty,
I co ów z góry przez lejkę naleję,
To wnet się dołem na ziemię wytoczy!
Budnik ze złości omal nie szaleje,
Lecz się powściąga, i odwraca oczy,
I Pana Boga o cierpliwość prosi,
Aby wytrzymać do zachodu słońca.
A woziwoda jak nosi tak nosi,
Wiadro za wiadrem i leje bez końca,
Bo co naleje, wnet wybiega marnie!
Więc sroga rozpacz biedaka ogarnie,
Więc rzuci wiadro i ręce załamie,
I pocznie płakać serdecznymi łzami!
To już do reszty wzburzyło budnika,

I niecierpliwosć wzięła nad nim górę;
 Skoczył i zatknął palcem w beczce dziurę,
 A drugą ręką za łeb woziwodę!
 A woziwoda zmienił się w diablika,
 I zachichotał! Ale już nie znika,
 Ba raptem na kark mazurowi siada,
 I już za gardło dławi go niecnota!
 Mazur się złości, mazur się szamota,
 Ale mcskanie, z djabłem trudna rada!
 A tu się ani przeżegnać nie zdoła,
 Ni w pomoc wezwać Najświętszą Maryję;
 Bo mu prawie w beczce trzyma smoła,
 A diabeł ściska pazurami szyję!
 W duchu więc tylko, w głębokiej pokorze,
 Z wiarą w najwyższe miłosierdzie Boże,
 Gorące modły powtarza myślami:
 «Stwórco Wszechmocny! zlituj się nad nami!»
 A djablik coraz słabiej, słabiej gniecie...
 Aż kiedy Maciej wspomniął sobie ony,
 Hymn »Strasznego Majestatu Panie,«
 Szeroko sławny po calutkim świecie,
 Stąd, że Twardowski przez djabłów niesiony,
 Gdy go zanucił wnet pierzełhi szatani,
 On zasię zawisł w powietrznej otchłani,
 I tam sądneho dnia się doczekiwa..
 Więc kiedy Maciej pieśń oną zaśpiewa,
 W głębi swej duszy, djabeł ryknął wściekle,
 I gdzieś aż na dnie obejrzał się w piekle,
 Tylko mu wyrwał kawał czuba z głowy.

Odetchnął budnik, ale ręka w smole,
 A beczka ciężka jak głaz stupudowy,
 Ani jej dźwignąć! I któż go wyzwoli?
 I jak wyzwoli? któż te rzeczy zbada!
 Widują ludzie w tej biedzie Macieja:
 Stoi ponury, nie nie odpowiada,
 Tylko się modli... snąc w Bogu nadzieja,
 Że z czasem kara zakończy się sroga.
 Więc i wy za nim westchnijcie do Boga!

Adam Pług.

GARWULIŃSKI

Obrazek z niedawnej przeszłości przez G. C.

Na jednym z ostatnich sejmików ziemi sanockiej, które odbywały się jak wiadomo w Sądowej Wiszni, książe Z.* gwałtem chciał być obrany deputatem.

Ale że księcia szlachta nie lubiła, nie było prawie podobieństwa, żeby zamiar swój przeprowadził. Książe jednak nie upadał na duchu i postanowił wszelkimi siłami forsować.

W wigilię sejmiku, książe z całym swoim dworem zjechał do wsi Twierdzy, która jest na trakcie do Sądowej Wiszni i kędy schodzą się trzy szlaki, a na każdym szlaku stoi karczma. Tutaj więc było zwykłe miejsce przystanku i odpoczynku zjeżdżającej się zewsząd szlachty.

Rozstawieni ku temu po wszystkich karczmach dworzanie księcia, chwytali tedy szlachtę, poili, ściskali i prowadzili do księcia, który także pił z nią jak mógł i ściskał

jak umiał najserdeczniej. Tak spojonym a zatem skaptowanym stronnikom kładziono wreszcie na głowy zielone czapki, bo taki był zwyczaj, że książe stronników swoich w czapki swojej barwy ubierał.

Tym sposobem wznagała się coraz partya księcia i nad wieczorem cała już prawie szlachta przemyska w zielonych czapkach a różowych humorach, krzyczała ogromnemi głosy: «Wiwat książe! wiwat! niech żyje!» i t. d.

Ci co się szczęśliwie z tej łapki wymknęli, albo ułowić się w nią nie dali, zanieśli wiadomość o wszystkim do Wiszni, gdzie już znaczna część szlachty z innych stron się zgromadziła, a między nią, jak zwykle, wodził rej pan sędzia Chojnacki, z nieodstępnyim Garwulińskim u boku.

Pan sędzia nie cierpiał księcia, nie po myśli mu więc były coraz nowe wieści o gromadzeniu się szlachty przy boku księcia. Kręcił węża, spluwał, kłął, nareszcie zwrócił się do swego polubieńca!

— Garwulinsiu! źle się dzieje! Bój się Boga, poradź co na to.

Garwulińcio pomyślał trochę.

— Ta, jabym może i poradził.

— Zmiłuj się Garwulińsniu! ja cię ukróluję za to, ale co myślisz począć?

— Hm, to już moja rzecz, tylko by mi trzeba kilku sprawnych chłopaków i ze trzy fury.

— Trzysta fur dam ci tej chwili, tylko zrób żeby dobrze było, krzyknął uradowany pan sędzia, ściskając i całując serdecznie swojego klienta. Wydał rozkaz i niebawem trzy fury zajechały; Garwulińcio z pomiędzy szlachty i dworzan wybrał sobie kilku po swojej myśli, siedli na fury i pojechali.

Dobrze już było w noc, kiedy Garwuliński ze swymi towarzyszami, zostawiwszy o podał furmanki, skradał się po cichu pod karczmy, które partyzanci księcia zalegli. Cicho było do koła i ciemno, tylko w jednym oknie błyszczowało światło, gdzie książe ze swoim doktorem i marszałkiem siedział jeszcze i czuwał.

Garwuliński podsunął się bliżej, zajrzał do jednej i drugiej sieni; szlachta śpi jak porznięta i tylko straszliwym, różnotonnem chrapaniem odgrywa koncert, nie obcy dla szlacheckiego ucha.

Wrócił do swoich: «Dobrze słyhać, teraz śpią w najlepsze, więc dalej do rzeczy, tylko cicho a ostrożnie.»

Niby cienie lekuchne wemknęli się do karczem, rozbiegli się między śpiącą szlachtę, każdy łap za swojego i dalej ściągać z nich szarawary.

Już prawie wszystka szlachta leżała pozbawiona zupełnie niższego odzienia, kilku jeszcze tylko zostawało nie tkniętych, gdy w tem Garwuliński nieszczęściem jakimś trafił właśnie na pana chorążego Mniszcha i nuż go operować.

Mniszech czy nie dopił jak należy, czy się już trochę

przetrzeźwił, dosyć że się obudził, a obaczywszy choć nie pewnym wzrokiem kogoś nad sobą, krzyknął, zerwał się na nogi i strzelił.

Zbudzona szlachta, przerażona wystrzałem, porwała się także, chwyciła za szable i powstał rwetes, krzyk i galimatias, z którego korzystając Garwuliński, wyniósł się cichaczem ze swojemi, szarawary zapakował na fury i w nogi.

Szlachta też rozmarzona, rozgrzana winem, nie czując swego przeistoczenia, nie mogąc po ciemku rozpoznać o co chodzi, zmorzoua snem, niebawem upadła napowrót pokotem i wkrótce chrapanie, silniejsze niż było przed tem, zaległo karczmę.

W miarę jednak jak wino zaczęło parować z czupryn, chłód nocny coraz mocniej czuć się dawał i jaki taki począł się kurczyć, i z wolna przychodził do siebie. Już też i ranek począł świtać: jeden i drugi obudził się, przetarł oczy, pomacał się po z ziębłych nogach, siadł w kuczki, spojrzął po sobie i po drugich, i niewiedząc co począć, siedział cicho i czekał co Bóg da.

Powoli pobudzili się wszyscy, a jednak było cicho jak makiem zasiał, bo każdy z wytrzeszczonemi oczyma, z rozwartą gębą, siedział pełen zdziwienia, nie mogąc pojąć co się z nim stało.

Dopiero po jakimś czasie, najprzód Mniszech, a potem ten i ów, poczęli sobie coś przypominać i przebąkiwać. Rada w radę, jak zaczęli kombinować i deliberować, wypadło w końcu że ktoś w nocy obdarł ich wszystkich z szarawarów, ale kto, jak, i co? nie wiedzieć.

Książę uwiadomiony *de hoc fatali casu*, wypadł ze swego pokoju, a obaczywszy smutne położenie szlachty, zważał co się święci, i uchwyciwszy się obiema rękami za perukę, zawołał przerażony:

— Oho! przepadłem!

Rozesłano na wszystkie strony gońców za szarawarami, ale tymczasem szlachta kuląc się, i zakrywając jak mogła szpelnosć swojej postawy, nie śmiała nosa za wrota pokazać.

W miarę jednak jak słońce podnosiło się do góry, jeden i drugi szlachcic, co także kędyś noc zapił, pospieszał na sejmik, i naturalnie, czego zwyczaj, wstępował do karczmy, a obaczywszy cudne widowisko, zanosił się i pękał od śmiechu, ze śmiechem wyjeżdżał z karczmy, ze śmiechem opowiadał całą historią zgromadzoną w Wiszni, i opowiadaniem swoim powszechny też śmiech obudzał.

Zgromadzono wreszcie w Twierdzy potrzebny zapas o dzieży, ale nim się szlachta przystroiła i wyruszyła, słońce dobry już kawał drogi ubiegło.

Tymczasem w Wiszni spieszono się czempredzej z rozpoczęciem sejmiku.

Już się skończyło nabożeństwo, już odśpiewano *Veni Creator*, zapuszczono zasłonę na ołtarze, wyniesiono *San-*

ctissimum, szlachta nasadziła czapki na bakier; gotowa do rady czy bitki, kiedy nagle wszystko troje drzwi kościoła otworzyło się z trzaskiem na oścież, i zewsząd hurmem wgarnęły się zielone czapki.

Najzawołani się rębacze rej wiedli, a na czele głównej partyi, wielkimi drzwiami, wszedł sam książę.

Wszyscy spojrzeli po sobie i cisza zaległa kościół. Wtedy pan Garwuliński spiąwszy się na palce, jako był mały, ogromnym głosem zawołał:

— „Szarawary!”

Śmiech straszliwy, któremu nie było końca ogarnął wszystkich.

Zielone czapki straciły minę i rezon, a niektórzy z nich poczęli śmiać się wraz z drugimi.

Książę nie czekając końca, wyniósł się cichaczem. Ani jednej kreski nie dostał.

G. C.

Rozmaitość.

* **Kraków 2. Czerwca.** Po sobotniem pożegnalnem przedstawieniu „**Napoleona**” p. Pfeifer udaje się z całą swoją trupą do Poznania, z kąd dopiero z końcem Września do naszego miasta powróci. Przy tej sposobności niech mi wolno zastanowić się pokrótce nad tem nowem stowarzyszeniem scenicznem pod przewodnictwem p. Pfeifera.

I tak bezsprzecznie pierwsze w niem miejsce zajmuje jeżeli prawdziwą pogłoska, że już od Dyrekcyi zaangażowanym został p. **Królikowski**, brat znanego i uwielbianego u nas artysty, jeszcze za złotych czasów sceny krakowskiej, a który obecnie warszawską publiczność zachwyca. P. Królikowski występował tu po raz pierwszy we Czwartek w roli gościnniej **Leonarda de Prosy** w komedyi **Honor ojca**: a sądząc po tym pierwszym występie, poznaliśmy w nim artystę już niedzisiejszego, z talentem, którego niezaniebdywał, obeznanego z wszelkimi właściwościami sceny, jednym słowem artystę, któryby, śmiało powiedzieć możemy, mógł być ozdobą pierwszych teatrów naszych.

Pani **Kossorotów**, o której pobieżnie wspomniałem donosząc wam o pierwszym tegorocznem przedstawieniu u nas: „**Śluby panińskie**.” w rolach narodowych i bohaterek ludowych również zaszczytne jako artystka dramatyczna zająć może miejsce. — Z kolei następują panna **Kotowska** i pan **Milaszewski**. Oboje równemi obdarzeni zdolnościami, które przy usilnej pracy, dobrych chęciach, niebaczac na poklaski często zbyt pobłażającej publiczności, co już niejeden młody talent osobliwie na prowincjach, wzbijając go w zgubną dla wszelakiego postępu zarozumiałość, zatrzymały w dalszym rozwoju, postawić ich mogą w rzędzie pierwszych, a tak niewielu co do liczby artystów sceny polskiej. P. **Ładnowski** od dawna już poświęcający się zawodowi scenicznemu, niemożna powiedzieć żeby był bez talentu, również i niejakiej oryginalności w rolach jemu tylko właściwych odmówić mu niepodobna; wielka atoli niedbałość w nauczaniu się jemu powierzonej partyi, zbyt często nie dozwala mu przejąć się rolą, mając całą uwagę zwróconą na pana szuflera. W tym razie gra jego nieznośny i dla publiczności przyjmuje charakter: zimno, leniwo, bez znacznej zmiany w głosie i w ruchach, wygłasza słowo po słowie, które poprzednio, nim się wysłizną z ust p. Ładnowskiego, dochodzą nas z budki szuflerskiej. P. **Janowski** od paru już lat mówiąc bez uprzedzenia, ani na krok nie postąpił. Wiecznie jeden i ten sam: co do postawy, ruchu i deklamacyi, najmniejszej rozmaitości niema; w braku wyższego wykształcenia skrzywia prawie każdą jemu powierzoną rolę. To samo powiedzieć musimy i o p. **Sulikowskim**

i o pannie **Okońskiej**, po raz pierwszy prawdzie dopiero za obecnej dyrekcyi występującej na naszej scenie, w której jak by się zdało przynajmniej na scenie wszelkie żywsze zaumarło uczucie, a kto by zatkawszy uszy chciał mniej więcej wzrokiem odgadnąć co tam na scenie się dzieje, i w roli n. p. Estelli z twarzy i gestów panny **Okońskiej** wyczytać uczucia grające w jej wnętrzu, temu by pewnie ani przez myśl nie przeszło, że patrzy w tej chwili na córkę odzyskującą na powrót utracone przywiązanie kochanego ojca. O reszcie jako po większej części zaledwo początkujących w swoim zawodzie przemilczam.

Jakkolwiek więc, jak widzimy, wiele jeszcze niedostaje do skompletowania dramatu u nas, w wielu rolach przymuszoną jest dyrekcyja posługiwać się indywiduami nierokującymi pomyslnego skutku, niepodobna nam jednakowoż obwiniać w tym razie dyrekcyją, mając bacznie na liczne przeszkody, a nieprzyjazne okoliczności, w których p. Pfeifer obejmował dyrekcyją krakowskiej sceny, również jak i na szczupłą liczbę artystów, wolnych każdego czasu do zaangażowania, na co każdy dotychczas, prócz pana Chełchowskiego narzeką. Owszem p. Pfeifer na szczerą wdzięczność zasłużył sobie od publiczności naszej, która z prawdziwą przyjemnością kilka wieczorów przepędziła w sali teatralnej.

A teraz ze sceny zjeżdżmy na chwilę na pole smutnej rzeczywistości, która jak się zdaje, z dniem prawie każdym coraz to węższem opierścieniem nas kółkiem, wyciskając pomimowoli z piersi same tylko skargi i narzekania. Gdziekolwiek zajdziesz, w mieście, czy za miastem, wszędzie czuć się daje bliskość nadchodzącej wielkiej biedy, którą powtarzając zdanie powszechne, nawet dobre urodzaje w niezem nie uśmierzą. Zboże, szczególnie w pobliskich Krakowa galicyjskich obwodach, jak to w Bocheńskim i Wadowskim do niesłychanej dochodzi ceny. I tak w Wieliczce, zaledwo o półtora mili od Krakowa odległej, na czwartkowym targu płacono korzec pszenicy po 76 Złp. t. i. 19 Złr. m. k. W równej mierze postąpiły i inne gatunki zboża. Łacno więc wystawić sobie można, na jakie życie skazana jest nierównie większa liczba tych, co z licho zapracowanego grosza dzień po dniu często z liczną familią spędzać są przemuszeni.

* Rubini umarł w 60 roku życia, zostawując jako sens moralny powodzeń swoich muzykalnych cztery miliony franków majątku. Rozpieściwszy uszy diletantów Europejskich najcudniejszymi dźwiękami jakie kiedykolwiek piersi ludzkie wydały, młody jeszcze a olbrzymio już bogaty, szukał wypoczynku w roku 1845 w swoim rodzinnem miejscu w Lombardyi, w okolicach Bergamo, gdzie posiadał prześliczną wioskę. Tam skończył życie 2. marca bieżącego roku, zostawując nam po długim i czynnym zawodzie swoim, pamiętkę tylko chwil rokosznie na słuchaniu go spędzonych.

W dzieciństwie Rubini terminował jako czeladnik piekarski. Nie ma wątpliwości, że gdyby się był urodził margrabią, sztuka pewno by straciła najznamienitszego tenora jaki był na świecie, i niktby o nim ani słówka nie wspomniał. Sklepienia wiejskiego kościołka najpierw posłyszały głos ten zadziwiający, którego posiadacz jedną tylko miał wadę, ale wielką wadę, że wyrodził tłumszczę naśladowców. Z kościoła przeskoczył na scenę teatralną. We Włoszech nie to rzadkiego. Powiadają ludzie, że Rubini wtedy nie tylko śpiewał ale i tańczył po trochu. Było to w roku 1807. Wiele jeszcze lat przebył nasz tenor w ciężkiej biedzie i kłopotach, wędrując od teatryku do teatryku, gdzie czterech chórzystów reprezentowało widzom, fikcyę tłum tak dla ucha jako i dla oka. W roku dopiero 1815 zaczyna się jego prawdziwa karyera w Bresciji, w Wenecyi, i innych miastach włoskich, wzdąta do kolosalnej wysokości, i staje się europejską. Nozzari, najznakomitszy w owym czasie tenor, posłał go Rossiniemu, na wpuł już ukształconego. Maestro przyjął go w Neapolu, witając go nowemi partycjami. Od tej chwili imię jego rośnie olbrzymio, przeskakuje góry, a kiedy Rubini przybył do Paryża w roku

1825, rozgłos co go wyprzedził, usprawiedliwił szalone oklaski, które go przyjęto. Publiczność szalała nie tylko z uniesienia, ale i z zdumienia, słysząc go w Kocpiuszku. Odtąd poświęcił się cały dwóm miastom, Paryżowi w zimie, Londynowi w lecie, aż do chwili gdy Petersburg porwał go dwóm tym stolicom, daremnie już teschniącym za nim.

O ile artystyczna karyera Rubiniego była świetną, o tyle życie jego prywatne było skromne. Skromność ta przechodziła nawet na leżyta miarę. Małżeństwo zawarte jeszcze w bardzo młodych latach nie miało się przyczynić do tego zamiłowania w domowym zaciszu. Żył sobie nasz artysta jak najpospolitszy mieszczanin z kretką i główką, najdrobniejszego wydatku sobie skąpiąc, mieścił się w ciasnych kilku izdebkach, a największym dłań zbytkiem było to, że po całych dniach wylegał się w łóżku. O ile nam wiadomo, w Petersburgu jeździł w karecie wysłanej pierzynami. Jedną go rzecz tylko zajmowała, bojaźń utracenia głosu. Rzecz można, że był istnym niewolnikiem swojego talentu, a publiczność winna mu wdzięczność za to że odmawiał sobie wszelkich przyjemności życia, aby jej sprawić przyjemność.

Dzieci nie miał wcale. Namiętniej jeszcze jak w oklaskach kochał się w polencie (jest to rodzaj placków z mąki kukurydzianej, które Bergameczycy uważają za doskonałe do zachowania głosu). Przynać trzeba, że skromna była to namiętność.

Mało nam zresztą pozostaje do wspomnienia o Rubinim. Wiadomo wszystkim jak wyjątkowym głosem obdarzyła go natura, z jaką sztuką wytrawną choć instynktową tylko, umiał używać tego nieporównanego narzędzia. Nie mając ani zdolności ani chęci do aktorstwa, zbierał często najżywszego zapału oklaski za pomocą głosu jedynie, którym umiał sytuację sceniczną do najwyższej podnosić patetyczności, i ze wszystkich śpiewaków, jacy kiedykolwiek istnieli, jednego Rubiniego niepodobniestwem było naśladować. Wyjątkowe uzdolnienie natury dozwalało mu wyjątkowych niepodobnych rzeczy dokazywać. Wszelkie więc naśladowanie jego od razu przechodziło w niezdolne małpiarstwo. Mario jeden ze wszystkich naśladowców najwięcej się zbliżył do tego wzoru niezrównanego, i to głównie w sztuce oszczędzania zasobów głosu i otwierania ust, nie wydając najmniejszego dźwięku i takiego odurzenia publiczności, że w szal uniesienia wpadała, kiedy artysta piersiom folgując, ustami tylko ją zwodził. Była to sztuka kontrastowania forte z pianissimo, na którą najpotężniejsze organizacje artystyczne na próżno by się siliły, a w której do takiego samego chcąc dojść efektu, Malibran, Garcia, i wiele innych życiem by przypłaciły wysilenie. Rubini prócz talentu odznaczał się jeszcze czemś więcej. Wielu artystów publiczność opsypuje oklaskami i złotem, ale on był jednym co wśród najświetniejszego podwolenia godność swoją zachować umiał. Wiedział kiedy mu scenę opuścić przystało. Porzucił ją przed czasem, ale z chwałą. Tym co go tak długo ubóstwiali, oszczędził bolesnego uczucia litości nad sobą; wyszedł cały i równie wielki jak w początku zawodu, w pełnym tryumfie, wynosząc głos swój niespożyty. Najmuzykalniejsze ucho zaledwie mogło dosłyszyć lekkie zamglenie w tym boskim głosie, kiedy ostatni raz występował przed publicznością. Ale Rubini sam czuł najlepiej, czuł co mu brakuje, i nie chciał już przyjąć 120,000 franków za to, żeby jeszcze sześć miesięcy został na scenie. Poczciwa małżonka jego uznała, że bardzo mądrze sobie w tem postąpił, i oboje z wielką radością pożegnali trzy stolice, i usunęli się w ustronie. Śpiewał on jeszcze czasami to tu, to owdzie jakieś niewielkie aryjki na dochód ubogich, ale w końcu i tego poprzestał, i wolał się z nimi własnym workiem podzielić, niżli głosem rozwiązywać worki Medyolańczyków. A potem już nikt i nie posłyszał o nim. Przepadł bez wieści jak człowiek szczęśliwy!!! Aż dopiero pewnego dnia niespodzianie usłyszeliśmy że umarł!!! Zażożyłbym się, że niedługo dowiemy się o jakichś zapisach muzykal-

nych, na które starczy aż nadto majątek pozostawiony przez nieboszczyka tej poczciwej żonie, któraby z nim rady sobie dać nie potrafiła, i która pewne nieraz mocno się dziwiła że ludzie zadawali sobie tyle trudu, i sypali tyle pieniędzy, żeby słyżyć głos wydawany przez te piersi, które ona tak ogromną ilością polenty karmiła.

* Gazeta Lyońska pisze, iż wyratowany Giraud skonał dni 27. maja, już to skutkiem amputacji nogi powyżej kostki, przed kilku dniami dokonanej, a zawsze niebezpiecznej dla człowieka długimi i i tak nadzwyczajnymi wycieńczonego cierpieniami; już z powodu licznych ran po ciele, które przybrały cechę gnicia i gangreny. Tyle więc trudów, starań i poświęcenia w niwecz poszło. Lubo przewidywana, śmierć tego nieszczęśliwego robotnika zasmuciła wszakże wszystkich co się losem jego zajmowali. Napisano już do Lyońskiego teatru sztukę, pod tytułem: **Studniarz z Ecully** i przedstawienie jej ogłoszono, ale przez uczucie przyzwoitości, afisze w dzień jego śmierci czarno zostały zamalowane.

* Kobieta, która trojgu dzieci swych odebrała życie, umarła w szpitalu głównym.

Przyjechali od dnia 7 do 9. czerwca do Lwowa:

PP. Brunicki Józef br., z Stryja. Batowski Alexander, z Kulikowa. Krajewski Mikołaj, z Żółkwi. Czacki Alexander hr., z Przemysła. Sapięha Leon ks. z Krosienka. Stadnicki Jan hr., z Wiednia. Grochowalski Karol, z Tucznego. Kościński Edward, z Turzego.

PP. Czerniński Stanisław, z Albigowy. Kraiński Maurycy, z Przemysła. Kotkowski Apolinary, z Hawłowie. Najojowski Antoni, z Czernicy. Bogdanowicz Jan, z Kosowa. Teodorowicz Antoni, z Stanisławowa. Malczewski Stanisław, z Cześniak. Dzieduszycki Zygmunt hr., z Medowy. Skarbek Alfred hr., z Tarnopola. Bogdanowicz Zachariasz, z Brzeżan.

PP. Baczyński Eustachy, z Czerniowa. Jaworski Jan, z Stryja. Bartmański Emil, z Iwonicza. Zbrożek Kazimierz, z Wierzbicy.

Wyjechali od dnia 7 do 9. czerwca ze Lwowa:

PP. Batowski Konstanty, do Humnisk. Onyszkiewicz Adam, do Złoczowa. Lanckoroński Teodor hr., do Poddubiec. Strzelecki Eugeniusz, do Poddubiec. Szumlański Konstanty, do Kuhajowa. Starzewski Ignacy, do Rozdołu. Chojecki Zygmunt, do Stanisławowa.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni **E. Winlarza.**

PP. Pluschk Ferdynand, do Brzeżan. Orłowski Felix, do Zagrobeli. Podlewski Alexander, do Dołhego, Mikuli Jakób, do Stanisławowa. Hlnecki Józef, do Komornik.

P. Borkowski Włodzimierz, do Lubieniec.

Lwów 9. czerwca.— Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 24 złr. — kr. do 30 złr. — kr. — Żyta po 20 złr. — kr. do 25 złr. 38 kr. Jęczmienia po 18 złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 13 złr. 30 kr. do 14 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 21 złr. 30 kr. do — złr. — kr. — Ziemiaków po 12 złr. — kr. do — złr. — Sag drzewa bukowe 25 złr. — kr. do — złr. Sosnowego po 19 złr. 30 kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 48 kr. do złr. 3 kr. 7. Centnar słomy 1 złr. 55 kr. do 2 złr. — kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity — Złr. — kr. m. k.

Dzisiejszy.	Kurs lwowski.	Gotówką	towarem.
Dukat holenderski	złr. 6 kr. 15	złr. 6 kr. 20.	
Dukat cesarski	" 6 " 18	" 6 " 22	
Półimperyal zł. rosyjski	" 10 " 50	" 10 " 54.	
Rubel srebrny rosyjski	" 2 " 5	" 2 " 6.	
Talar pruski	" 2 " —	" 2 " 1.	
Polski kurant i pięciozłotówka	" 1 " 30	" 1 " 31.	
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	" 92 " 24	" 92 " 40.	

Kurs telegrafowany z Wiednia w sobotę o 2 g. popołud.

Amszterdam	112.	Marsylia	—
Augsburg za 100 złr.	134 1/4.	Medyolan za 300 lirów	132 1/2.
Bukareszt	—	Paryż za 300 franków	157 3/4.
Frankfurt za 120 złr. podług	—	Agio duk. ces.	—
24 1/2 stopy	133 3/4.	Srebra agio	34.
Genua	—	Pożyczka 5% 85 1/2. 4% 75 1/2.	—
Hamburg za 100 tal. banco.	99 1/2.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akeye banku	1224.
Liworno	130.	Kolej północna	2122 1/2.
Londyn za 1 funtszterl.	13. 2.	Obl. ind.	5% —

TEATR POLSKI.

W Poniedziałek dnia 12. Czerwca 1854. **Dymitr i Marya.**
Dramat w 5 Aktach oryginalnie wierszem przez Józefa Korzeniowskiego napisany.

Doniesienia.

(89)

Sprzedaz owiec.

(3—3)

Owczarnia cała składająca się:

ze 40 sztuk baranów
przeszło 500 " matek stanowych
" 300 " skopów
" 600 " młodzieży

pochodząca z sławnych owczarni Barona Bartensteina w Hengersdorf i Deutsch-Knönitz w czystej swojej krwi utrzymana, z której wełna corocznie po 120 do 130 złr. m. k. na miejscu sprzedaje się, jest dla zaszczytów odmian w gospodarstwie rolniczem do sprzedania

w Tyszkowcach,

obwodzie kołomyjskim, 1 mila przy Horodence, tam ją opatrzyć i za cenę odpowiedzialną nabyć można.

(98)

Styryjskiego

(1—12)

SOKU Z ZIOŁ

dla cierpiących na piersi

w Galicji dostać można

we Lwowie u panów Fryderyka Schubutha Synów

w Biale u pana J. Muchitsch.
" Bochni " " P. Niedzielskiego.
" Krakowie " " K. Hermana.
" Rzeszowie " " J. Schaittera.
" Tarnowie " " J. Jahna,
" Czerniowcach " " T. Zachariasiewicza.

J. Purgleitner,

Aptekarz, Producent styryjskiego soku z ziół w Gracu.

Nakładem księgarni K. Wilda we Lwowie, wyjdzie w Sierpniu r. b. dawniej już zapowiedziany

SKOROWIDZ SZCZEGÓŁOWY

wszystkich miejscowości znajdujących się w królestwie Galicyi i Lodomeryi, jako też w wielkim księstwie Krakowskiem i księstwie Bukowińskiem — pod względem przeprowadzonej politycznej i sądowej organizacji kraju; ułożony porządkiem abecadłowym według źródeł urzędowych, w dwóch wydaniach — jedno po polsku, drugie po niemiecku — wraz z mapą.

Ażeby nabycie tego dla wszystkich urzędów, jako też w potocznem życiu dla posiadaczy ziemskich, kupców, fabrykantów, rzemieślników i gmin tak potrzebnego dziełka ile możności ułatwić, a oraz nakład druku w miarę potrzeby urządzić, ogłasza się nani przedpłata aż do 15. Lipca 1854. Cena egzemplarza na papierze drukowym wynosi w drodze przedpłaty 1 Złr. 30 kr., na papierze klejowym (na którym notatki atramentem dopisywane być mogą) 2 Złr. m.k. które to ceny po upływie wyżej wymienionego terminu podwyższone będą na 2 Złr. i 2 Złr. 30 kr.

Przedpłatę przyjmuje we Lwowie księgarnia nakładcy, na prowincyi zaś wszystkie c. k. urzędy pocztowe w listach frankowanych pod napisem: Do księgarni K. Wilda we Lwowie.

O d w z ó r :

SKOROWIDZ

wszystkich w królestwie Galicyi i Lodomeryi, w wielkim księstwie Krakowskiem i księstwie Bukowińskiem znajdujących się miejscowości, ułożony alfabetycznie według przeprowadzonej w roku 1854 organizacji kraju.

Nazwa miejscowości		Obwód	Urząd okręgowy	Parafia	Urząd pocztowy	Odległość od miejsca poczty — mil	Właściciel posiadłości tabularnej
*Adamówka	Wieś	Przemyśl	P. Sieniawa	Majdan r. k.—g. k.	Sieniawa	1 3/4	Anna ks. Czartoryska
Browary	Wieś	Czortków	T. Jazłowiec	Jazłowiec r. k.—g. k.	Buczacz	2	Leonard Błazowski
Haczów	Wieś	Sanok	P. Brzozów	Haczow r.k. Besko g.k.	Rymanów	1	Ksawery Urbański
Janczyn	Wieś	Brzeżany	Z. Przemyślany	Janczyn g. k.	Narajów	2	Ludwika Jełowicka
*Korków	Wieś	Żółkiew	L. Bełz	Waręż r.k. Lubów g.k.	Sokal	2	Felician Kuczyński
Probużna	Miasteczko	Czortków	T. Husiatyn	Probużna g. k.—r. k.	Kopeczyńce	1	Piotr i Antoni Zawadzki
Żupanie	Wieś	Stryj	Sb. Skole	Żupanie g. k.	Klimiec	1/2	Alexander Dwernicki
Zwolaki	Przysiołek do włości Waniowa, obacz Waniow.						

Uwaga. Miejscowości *) oznaczone, znajdują się w okręgu pogranicznym. — Litera przy każdym urzędzie okręgowym położona, oznacza miejsce trybunału (sądowego) 1szej instancyi, któreto trybunały wykaże osobny spis dołączony do Skorowidza. Tak n. p. litera P. oznacza Przemyśl, T. Tarnopol, L. Lwów, Sb. Sambor i t. p.

Poszukiwany jest nauczyciel domowy, któryby prowadzić umiał młodzież przez szkoły normalne i gymnazyalne. Umiejący po francuzku lub znający muzykę miałby pierwszeństwo. Bliższa wiadomość w Redakcyi „Nowin” (99)

Część tabularna wsi w cyrkułe żółkiewskim, o 2 1/2 mili od Lwowa, składająca się z 50 morgów pola ornego, łąk, propinacyi, oraz budynków gospodarskich i domu jest do wydzierżawienia lub na sprzedaż. Bliższa wiadomość przy ulicy dykasteryjalnej Nr. 62, drugie piętro. (100)

Wszystkich gatunków
MINERALNYCH WÓD
świeżo czerpanych u źródeł

dostać można przez całe lato

u Fryderyka Schubutha Synów

(97) we Lwowie, przy ulicy krakowskiej Nr. 150. (1—6)

Pränumerations-Einladung vom **1. Juni an**, auf den

W a n d e r e r.

Morgen- und Abendblatt.

Preis für alle Kronländer: für 3 Monate 3 fl. 57 kr., 4 Monate 5 fl. 16. kr., 6 Monate 7 fl. 54 kr. Für Wien: für 3 Monate 3 fl., 4 Monate 4 fl., 6 Monate 6 fl. CM.

Allen mit **1. Juni** auf 3, 4 oder 6 Monate neu eintretenden Herren Abonnenten wird die „Karte des Kriegsschauplatzes in der Ostsee und den angrenzenden Küstenländern, nebst Detailkarten der Kriegshäfen von Kronstadt (sammt Petersburg) und Reval“ gratis beigegeben.

Wir haben neuerdings Anstalten getroffen, dass die **wichtigsten** politischen Nachrichten (nicht Gerüchte und Vermuthungen) dem Wanderer direkte auf telegraphischem Wege so schnell als möglich zugesendet werden.

Redaktion und Verlag des Wanderer, Stadt, Dorotheergasse Nr. 1108.

Księgarnia Karola Wilda we Lwowie

(39)

w rynku na rogu Dominikańskiej ulicy, poleca swoją

(10-32)

Wypożyczalnię książek i nót muzycznych.

I. Wypożyczalnia książek zawiera dzieła w języku polskim, francuzkim i niemieckim, treści naukowej i zabawnej, oryginalne i tłumaczenia; najnowszych i najciekawszych dzieł, po kilka egzemplarzy, ażeby równocześnie żądaniom kilkunastu abonujących zadość uczynić można.

Biorąc po jednym dziele od razu płaci się:

za książki polskie lub niemieckie		za książki francuzkie	
miesięcznie	1 Złr. m. k.	miesięcznie	1 Złr. 30 kr. m. k.
półrocznie zaś tylko	5 Złr. m. k.	półrocznie	8 Złr. m. k.

Za więcej dzieł od razu (abonując n. p. na prowincyi)

do 10 tomów na raz		do 20 tomów na raz	
miesięcznie	3 Złr. m. k.	miesięcznie	5 Złr. m. k.
półrocznie	15 Złr. m. k.	półrocznie	25 Złr. m. k.

II. W wypożyczalni nót znajdują miłośnicy muzyki liczny zbiór utworów najznakomitszych mistrzów dawnych i nowoczesnych na fortepian, skrzypce, wiolonczelę, flet, gitarę, do śpiewu, Duety, Tercety, Kwartety i t. p.

Biorąc po 3 do 6 sztuk razem płaci się miesięcznie 1 Złr. 30 kr. — półrocznie 8 Złr. m. k.

Biorąc po 6 do 20 sztuk razem płaci się miesięcznie 3 Złr. — półrocznie 15 Złr. m. k.

Szczegółowych warunków tak czytelnik jak wypożyczalnia nót dostanie bezpłatnie w wyżej wymienionej księgarni.

(95)

(3-6)

Najnowszy



wynalazek!

C. k. wyłączny

przywilej

na nowo wynalezioną czarną, brunatną lub blond

Pomade orzechowa

do farbowania włosów, wzmacniania skóry, na której włos rośnie, i zapobieżenia wypadaniu włosów, przez szanowny fakultet medyczny rozbierną i uznaną jako zupełnie nieszkodliwą. Ten doświadczony wyborny środek do farbowania włosów posiada nietylko własność włosów jakiegokolwiek barwy farbowania na

czarno lub brunatno bardzo szybko i na czas dłuższy, czem od wszystkich innych podobnych środków się różni, lecz wzmacnia także skórę, w której włos rośnie, zapobiega wypadaniu włosów, robi je miękimi, i nadaje takowym piękny, naturalny połysk. Słowem ten środek do farbowania włosów, a mianowicie ta pomada wpływa korzystnie na piękny porost włosów, nieszkodząc bynajmniej niczem zdrowiu. Jeszcze uwagę dodać należy, iż jeżeli jedynie do do wzmocnienia skóry, w której włos rośnie i do zapobieżenia wypadaniu włosów ta pomada użyta być ma, natenczas najlepiej używać pomady blond, jakiegokolwiek włosy są koloru.

Słoik tej pomady wynalezionnej przez **A. Link** w Wiedniu, kosztuje 30 kr. m. k.

We Lwowie dostać takowej można jedynie w handlu **Antoniego Schick'a** wdowy.

Ten sam handel utrzymuje równie największy i najlepiej zaopatrzonej skład tak krajowych jak i zagranicznych perfum, pomad, octów, pasty na zęby, mydełek i tym podobnych artykułów.

PODPISANA

REPREZENTACYA DLA GALICYI

C. K. UPRZYW. TRYESTYNSKIEJ

AZIENDA ASSICURATRICE

WE LWOWIE,

ZABEZPIECZA RÓWNIE JAK W ZESZŁYM ROKU

SZKODY NA ZIEMIOPŁODACH

PRZEZ

GRADOBICIE

WYRZĄDZONE,

bépośrednio w biórze przy ulicy pojezuickiej, naprzeciw hotelu angielskiego pod liczbą 175²/₄ lub też przez jej agentów na prowincyi w dwojaki sposób:

- A) Na podstawie funduszu Towarzystwa, t. j. **wypłacając** zabezpieczonemu cał owitą szkodę zabezpieczoną;
 B) na zasadzie wzajemnego zabezpieczenia, t. j. szkody **wypłacają się** w miarę wpływionych za zabezpieczenia premiiów.

O ile komu dogodniej, można podług A) lub B) żądać zabezpieczenia.

Taż sama **reprezentacya**, jakoteż jej ajenci na prowincyi udzielają żądającym zabezpieczenia potrzebne wyjaśnienia i blankiety do podań bezpłatnie.

Na listowne podania **szanownych stron** odpowiada **reprezentacya** oznajmieniem premii, za której przesłaniem pod jej powyżej wyrażoną adresą udziela się zabezpieczenie od najbliższej 12tej godziny południowej **po odebraniu przesłanej premii**.

Listowne podania zawierać mają najprzód odpowiedź na następujące pytania w ogólności:

- 1) nazwę miejsca, t. j. miasta, miasteczka lub wsi;
- 2) jak dawno zabezpieczenie żądający w miejscu zamieszkały;
- 3) czyli można z **pewnością** **podać**, jak często wydarzały się w okręgu tego miasta gradobicia uszkadzające ziemio płody, a przynajmniej, jak często w upłynionych ostatnich ośmiu latach;
- 4) czyli sam poniósł w tejsze wsi pomienioną szkodę;
- 5) czyli teraz mające się zabezpieczyć ziemio płody już może zostały gradobiciem, mrozami lub innym sposobem uszkodzone.

Co do kawałków pól w szczególności:

- 1) Nazwę kawałka pola, na którym zabezpieczyć się mający gatunek ziemio płodu, o ile ta nazwa znana jest zamieszkałym w miejscu, i opis granic tego pola tak, ażeby niezachodziła żadna wątpliwość co do innych pól lub kawałków. Mały planik piórem — po prostu może najlepiej zastąpić opis wiele czasu zabierający.
- 2) Ilość morgów i korcy wysiewu z nazwą gatunku ziemio płodu.
- 3) Wartość pieniężną spodziewanego zbioru w monecie konwencyjnej i w liczbach kończących się na zero.

We Lwowie, w kwietniu 1854.

Iszy Sekretarz:

Leon Ostrowski.

2gi Sekretarz:

Konstanty Wodecki.